Nro 18.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 26 sierpnia 1847. **Rok ósmy.**

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 11 sierpnia 1847.

Stroje damskie. Oto są najmodniejsze całkowite stroje: Suknia z włoskiej kitajki, błękitnego koloru, obszyta dwa razy bardzo szerokiemi falbanami wycinanemi w zęby w kształcie kogucich grzebieni, a nad każdą falbaną wąska, w rurki układana szlareczka, z tej samej co suknia materii; stanik wycięty, mocno kończasty, z potrójnym szwem i z wyłogami, wkoło wycinaną szlarką obszytemi; rękawy krótkie, szlarką obszyte; na głowie ubranie z błękitnych wstążek, ze srebrnemi brzegami, z bukietem róż ponsowych.

Biała muszlinowa suknia, po której rzucane ponsowe muszki, cztery razy szlarką obszyta, z wyciętym stanikiem, z bertą, podpiętą z przodu bukietem róż; we włosach także róże.

Suknia z materii mienionej, błękitne z różowem; dziewięcioma falbanami obszyta, które na trzy części podzielone, a każda trójka w znacznej od siebie odległości; stanik gładki, wycięty; rękawy krótkie; korunkowa pelerynka; korunkowe na głowie ubranie, spadające na czoło i po obu bokach głowy z róż bukiety.

Suknia z haftowanego muszlinu; muszlinowa narzutka, różową podszyta kitajką, a wkoło białą korunką obszyta; rękawy długie, w górze obcisłe; szerokie u dołu, korunką i fontaziem z różowej wstążki podpięte; biały krepowy kapelusz, z korunkową półzasłonką, przypiętą po bokach dwoma dużemi różami.

Z błękitnego bareżu suknia, której spodnica dwoma bardzo szerokiemi falbanami obszyta; stanik gładki, na ramiona mocno zachodzący, otwarty z przodu przez całą swą długość i obszyty wkoło dwoma szlarkami w kształcie wyłogów; rękawy półdługie, obcisłe w górze, a szerokie u dołu, dwa razy szlarką obszyte, biały jedwabny rańtuch; różowy tiulowy kapelusz, bukietem róż ubrany.

Biała tarlatanowa suknia, której spodnica przystrojona w dole kilkoma zakładkami; stanik wycięty, marszczony w pasie; rękawy długie; okrągła korunkowa pelerynka, zapinająca się gładko z przodu; biały korunkowy czepeczek, drobnemi szlareczkami obszyty i paliowemi wstążkami ubrany.

Różowa materialna suknia z gładką spodnicą, z wyciętym stanikiem, z wyłogami jedwabiem haftowanemi, na głowie ubranie z kwiatów.

Stroje męskie. Raptowna i ważna w strojach męskich zaszła zmiana; stany znacznie zostały skrócone, nietylko przy frakach, ale i przy surdutach i twinach; tej zmiany spodziewać się można było, gdyż długość stanów do tego już była doszła stopnia, że szpeciła niejedną figurę.

Rycina przedstawia: Suknię z włoskiej kitajki, z podwójną spodnicą; stanik kończasty z wyłogami; rękawy półszerokie, trzy razy krepiną obszyte, z pod których drugie muszlinowe widzieć się dają; obiedwie spodnice krepiną obszyte.

Grodenaplowa kapotka, gierlandą z kwiatów ubrana; batystowa szmizetka z bardzo małym kołnierzykiem.

Suknię sposobem redyngocikowym z amazońskim stanikiem, który tak jak i spodnica na duże szmuklerskie guzy spinany; rękawy z wyłogami; czarny korunkowy rańtuch

Strój małego chłopczyka: Nankinowa bluza, białemi taśmami obszyta.

XIĘŻNICZKA MERY.

Wyjątek z dziennika oficera rosyjskiego w garnizonie na Kaukazie.

(Nadesłane z nad Seretu.)

11 maja 184...

Wczoraj przybyłem do Piatyhorska i zająłem małe pomieszkanie w najwyższej części miasta, u samychże stóp Maszuka; w porze burz i słoty, chmury zstępują aż na dach mojego domku. Dziś z rana, skoro otworzyłem okno, izba moja napełniła się wonią kwiatów, pielęgnowanych troskliwie na wąskich grzędach, które otaczają mój pałacyk na około. Gałąski czereśni, całe białem kwieciem okryte, nachylają się aż ku oknu, a czasami wiatr silniejszy rzuci mi aż na stolik wonny upominek pęku białych kwiatów, które oderwał od wierzchołka gałązek. Przecudowny mam widok ze wszystkich trzech stron, na które wybiegają moje okna. Na zachód, siedm wierzchołków Bechty, rysujących się w błękitnawej oddali, jako ostatnie cienie, które znikają po burzy; na północ wznosi się Maszuk spiczasty i nastrzępiony jak kosmata czapka Persa; na wschód pod stopami mojemi, rozłożone gdyby na dłoni małe miasteczko; białe, schludne, nowe, jak świeżo z igły; tam to kipią źródła zbawienne, i tam tłum gości kąpielowych przechodzi się po wałach, placach i uliczkach, rozmawiając pomiędzy sobą wszystkiemi językami Europy i Azii; dalej góry wznoszą się coraz błękitniejsze mdlistsze aż do widokręgu, który tworzy srebrzysty łańcuch śnieżnych wierzchołków, zacząwszy od stromych ścian Wasbeku, aż do dwugłowego Elborusa.... Wesoło żyć w takim kraju!?! Jakieś nieznane słodkie uczucie rozlało się w całej istocie mojej. Powietrze świeże jest i czyste, jak całusek dzieciny; słońce ciepłe, niebo błękitne.... Czegoż więcej potrzeba? Po co namiętności, żądze, litość?!?... Ale czas już udać się do źródła Elżbiety; tam to zgromadza się co rano całe towarzystwo kąpielowe.

Zstępując do źródła lekką pochyłością, zawróciłem kroki moje ku wałom miejskim, gdzie spotkałem kilka grup melancholicznych, które zwolna szły pod górę; byłyto po największej części rodziny dzierżawców i małych właścicieli gruntowych w stepach, o czem przekonywały dostatecznie staroświeckie, zużyte stroje mężczyzn, a pstre i pretensionalne toalety mamuń i córeczek. Zdaje się, iż cała młodź, którą zwożą do wód, tam się znajdowała, gdyż spoglądano na mnie z czułem zajęciem i ciekawością; mój paletot z Petersburga ułudził na chwilę tych poczciwych rodziców; lecz skoro dostrzegli, że noszę szlify, odwrócili się odemnie wzgardliwie.

Żony wyższych urzędników miejscowych, które co rok przez całą kąpielową porę bawią u wód, były mi więcej przyjazne; używają one lornetek i nie wzdrygają się wcale na widok munduru, przywykłe do napotykania w Kaukazie serce pałające pod numerowanym guzikiem i umysł ukształcony pod białym kaszkietem. Są one przytem istotnie powabne i zostaną takiemi na długo, gdyż wielbiciele ich zmieniają się co roku — dawniejsi ustępują nowym — co może jest jedynym sekretem wabności ich i wdzięków. W ciasnem przejściu, tuż w bliskości źródła Elżbiety, napotkałem kilku z tych paniczów, którzy tworzą odrębną klasę wpośród zwykłych gości kąpielowych. Piją oni wszystko, oprócz wody, używają przechadzki bardzo skąpo, nadskakują miejscowym damom, grają w ogromne stawki i skarżą się wciąż na nudy W ogólności są to wiercipięty i samochwałki; przybierają oni akademickie pozy, zanurzając swe szklanki w źródle; u wojskowych wygląda zawsze biały kołnierzyk z poza obszlegów, cywilni noszą krawatki jasno niebieskiego koloru. Okazują oni głęboką wzgardę dla parafianek i bezustannie rozwodzą żale za arystokratycznem towarzystwem stolicy, do którego podobnoś nie mieli nigdy wstępu.

Nakoniec przybywam do źródła.... Tuż przy niem na wzniesionej nieco przestrzeni stoi niewielki dworek, w którym znajdują się łazienki; dalej przytykająca doń kryta galeria, miejsce przechadzki w porze słotnej. Kilku oficerów bladych i ponurych siedziało na ławkach, mając obok siebie swoje kule; kilka dam przechadzało się żwawym krokiem tam i nazad koło źródła dla przyspieszenia skutków wody; zauważałem wpośród nich parę nieszpetnych twarzyczek. Dalej nieco na ścieżce, więcej śród cienistych winogradowych gaików, które wieńcem otaczają Maszuk, niby falbana u sukni, ujrzałem... kapelusik różowy tej, która lubi samotność we dwoje. W rzeczy samej obok tego kapelusika zawsze spostrzegałem kaszkiecik wojskowy, czapeczkę, albo inny jaki męski ubior głowy. Na spadzistej skale, na wierzchołku której zbudowano mały pawilonik, ochrzczony mianem harfy eolskiej, tłoczyli się lubownicy pięknych widoków, kierując swoje dalekowidy w stronę Elborusa; wpośród nich poznałem dwoch guwernerów z swemi elewami, którzy przybyli do wód dla wyleczenia się z zimnych humorów. Unużony zatrzymałem się na pochyłości góry i spoglą-

dałem na ten śliczny krajobraz, gdy głos, który dobrze mi był znany, zawołał tuż za mną:

— Petczoryn! a dawno tu przybyłeś?

Obróciłem się: byłto Grusznicz. Ucałowaliśmy się jak dawni znajomi, i zapoznał mię natychmiast z całym korpusem oficerów tego oddziału, który tam stał załogą. Ranny był kulą w nogę i od tygodnia przybył do kąpieli.

Grusznicz już od roku służy w wojsku; jest jeszcze kadetem i z wyszukaną elegancią nosi grubą kapotę żołnierza, ozdobioną krzyżykiem ś. Jerzego. Jest on dość dobrze zbudowany, cery smaglawej, włosów czarnych; możnaby sądzić, że ma lat 25, chociaż w istocie liczy zaledwie dwadzieścia. Nosi on głowę w górę zadartą i co chwila podmuskuje swoje czarne wąsiki lewą ręką, prawa bowiem zajęta trzymaniem kuli, na której opiera się. Mówi prędko i głośno, i jest z liczby tych, którzy mają zawsze na pogotowiu ułożone szumne frazesy na rozmaite okoliczności w życiu, których pompatyczna składnia nie dościga nigdy piękności, lecz przybiera w strój uroczysty i znaczący uczucia niezwyczajne, namiętności bezprzykładne i cierpienia niesłychane. Czynić na drugich wrażenie, zdumiewać, jest dla nich istotną roskosza, a nawet niezbędną potrzebą: dla takichto ludzi giną z miłości parafianki. Po ożenieniu stają się oni zwykle albo spokojnymi oby-obywatelami, albo pijakami, a czasem jednym i drugim. Posiadają oni często szacowne przymioty, ale ani za grosz poezii. Panującą namiętnością Grusznicza jest deklamacia. Skoro tylko rozmowa wychodzi z form zwyczajnych, pańszczyznianych, zasypuje on cię gradem słów; co do mnie, nigdy nie mogłem prowadzić z nim rozmowy, jakiej takiej dysputy; on cię nigdy nie słucha, ani odpowiada na to, co do niego mówisz; zaledwo da ci dokończyć, już rozpoczyna długi szereg frazesów, które ty z początku sądzisz jako mające jakąś styczność z tem, coś do niego przemówił, lecz w rzeczywistości są one tylko dalszym ciągiem jego własnego dyskursu.

Jest on czasem dość dowcipny; ucinki jego są ucieszne, ale nigdy złośliwe; nie zabije on nikogo jednem słówkiem; nie zajmując się nigdy niczem innem oprócz sobą samym, nie zna on słabej strony ludzi, z którymi żyje. Głównym najwydatniejszym jego celem jest, stać się bohatyrem jakiego nadzwyczajnego romansu, i tyle się namozolił, aby w mówić w drugich, że on nie jest stworzony dla roskoszy tego świata, lecz przeznaczony na cierpienia tajemne i niewysłowione, że po części samemu sobie już to wyperswadował. Dla tegoto nosi on tak dumnie swoją grubą kapotę żołnierza. Jam go odgadł prędko; on się tego domyśla i nie lubi mię wcale, chociaż na pozór jesteśmy najlepszymi przyjaciołmi pod słońcem. Grusznicz uchodzi za odważnego; widziałem go w ogniu; wywija on młynka swoją szablą, krzyczy i rzuca się naprzód z zamkniętemi oczyma. Bah! jestże to odwaga? Jeżeli on mnie nie lubi, ja mu to oddaję w trójnasób; mam jakieś przeczucie, że spotkamy się kiedyś obaj na jednej drodze i w sposób fatalny dla jednego z nas.

Przybycie jego na Kaukaz, to jeszcze skutek jego romansowego charakteru. Jestem pewny, że w wilią swojego odjazdu z rodzinnej wioski, powiedział z miną ponurą do jakiej ładnej sąsiadki: »Ja nie idę szukać stopni wojskowych, jak to pani sądzisz, ja idę szukać śmierci, bo.... (w tej chwili musiał położyć rękę na oczach) Nie! Pani (czy ty) nie powinnaś o tem wiedzieć. Czysta twa dusza wzdrygnęłaby się na cień tej myśli.... Czemże ja jestem dla ciebie?.... Możeszże pojąć mię?....« I tak dalej.

Mnie samemu powiedział, że powód, dla którego wstąpił do pułku w Kaukazie, pozostanie wieczną tajemnicą pomiedzy nim a niebiosami. Zresztą jest on dość przyjemny, a nawet żartobliwy, skoro zrzuci z siebie na chwilę swój płaszcz traiczny. Bardzom ciekawy widzieć go przy kobietach. Wtedyto, zdaje mi się, będzie on usiłował przystrajać się w charakter, który osądzi za najstosowniejszy do okoliczności. Wkrótce odnowiliśmy w bardzo kordialny sposób dawną naszą znajomość. Wybadywałem go jak też spędza czas w kąpielach i jakie też osoby znajdowały się tutaj.

»Dość prozaicznie prowadzimy tu życie« odrzekł mi wzdychając. »Z rana pijemy wodę i jesteśmy niedołężni jak chorzy; wieczorem pijemy wino i jesteśmy nieznośni jak ludzie w dobrem zdrowiu. Jest tu kilka kobiet, ale to mała pociecha; grywają one w wista, stroją się bez gustu i kaleczą niemiłosierfrancuszczyznę. Z Moskwy tego roku przybyła tu tylko xiężna Sigowska z córką swoją, ale ich nie znam. Moja żołnierska kapota jest dla mnie wszędzie kamienną zaporą, przy niej życie to prawdziwie twardy orzech do zgryzienia.«

W tej chwili przeszły koło nas dwie damy; jedna w wieku już podeszłym, druga młoda, wysmukła i powabnego ułożenia. Kapelusze ich przeszkodziły mi do ujrzenia twarzy; lecz były one ubrane ze skromną prostotą i według wszelkich przepisów dobrego gustu. Młodsza miała na sobie suknię z wy-

sokim pod szyję stanikiem z szaro perłowego muszlinu, wąski kołnierzyk, wyłożony wkoło szyi na jedwabną krawatkę ciemnego koloru, czarne prunelowe botynki tak zgrabniutko, tak milutko obuwały jej malutkie nużki, iż każdy najmniej wtajemniczony w sekreta piękności, musiałby mimowolnie westchnąć z uwielbienia. Jej postawa wyniosła i szlachetna, ruch lekki, niewymuszony, miały w sobie pewną dziewiczość, wstydliwość, czego żadna definicja nie wytłumaczy, lecz oko doskonale pojmuje. Gdy przeszła, owionęła nas owa roskoszna woń, którą tchnie czasem bilecik ładnej kobiety.

»To xiężna Sigowska i córka jej Mery, jak ona ją nazywa z angielska;« rzekł do mnie Grusznicz« »Już od trzech dni bawią tutaj.«

— »A tobie już znane ich imiona chrzestne?«

— »Tak,« odrzekł rumieniąc się »usłyszałem przypadkiem; zresztą nie pragnę wcale zaznajomić się z niemi. Ta dumna noblesa spogląda ns nas wojskowych jak na dzikich ludzi. Co ich to obchodzi, że się znajdzie rozum pod numerowanym kaszkietem, albo serce pod grubą kapotą żołnierza.

— »Biedna kapota!« zawołałem uśmiechając się; »lecz co to za jeden ten panicz, który się do nich zbliża i podaje im szklankę z tak wyszukaną gracją?«

— »Ah! to piękny Bajcewicz z Moskwy. Gracz to i fanfaron; widać to po tym grubym złotym łańcuchu, który tak pretensjnonalnie rozłożył na niebieskiej kamizelce. Co za laska! podobna, dalipan, do laski Robinsona Kruzoe, a ta broda, ta fryzura!«

— »Ej, wymyślasz, coś dzisiaj zagniewany jesteś na cały rodzaj ludzki «

— »Et, alboż nie mąm za co?«

— »Doprawdy?«

W tej chwili obie damy wracając od źródła zbliżyły się do nas. Gruszniсowi udało się, dzięki jego kuli, przybrać postawę dramatyczną, a przemawiając do mnie po francusku odpowiedział mi głośno:

— »Mój kochany, ja nie nawidzę ludzi, aby nie być zmuszonym pogardzać nimi. Inaczej życie stałoby się dla mnie trochę zanadto niesmaczną farsą.«

Piękna xiężniczka obróciła się żywo i rzuciła na mowcę spojrzenie przeciągłe, ciekawe. Trudno byłoby oznaczyć wyraz tego spojrzenia, lecz nie był on drwiącym, czego też winszowałem Gruszniсowi.

— »Ta xiężniczka Mery wcale nieszpetna,« rzekłem doń; »ma ona oczy dość ładne, oczy jedwabne. Radzę ci używać tego wyrazu, gdy będziesz mówił o jej oczach; rzęsy jej powieki są tak ciemne i długie, że promienie światła nie zdołają się zakraść aż do jej źrenicy. Lubię te oczy bez blasku.... rzekłbyś, że spoglądają na ciebie.... Zresztą zdaje mi się, że to już wszystko co w niej najpowabniejsze.... Ah! zapomniałem, ma ona zęby cudnej białości. To rzecz ważna... Czemu ona się nie uśmiechnęła, gdyś recytował twój pompatyczny frazes.«

— »Gadasz o ładnej kobiecia jak o angielskim koniu,« rzekł Grusznicz oburzony.

— »Mój kochany,« odrzuciłem mu, naśladując ton jego głosu i jesta; »mój kochany, ja gardzę kobietami, aby się zabespieczyć od kochania ich; inaczej życie stałoby się zanadto śmiesznym melodramatem.«

Porzuciłem go w dość smacznym humorze i przechadzałem się z pół godziny po chodnikach parku, wpośród skał i wiszących nad niemi krzaków. Poczęło już być gorąco, udałem się więc drogą wiodącą ku mojemu domkowi. Przechodząc koło siarczystego źródła, zatrzymałem się w zakrytej galerii, aby w jej cieniu odetchnąć trochę chłodniejszem powietrzem, to nastręczyło mi sposobność być świadkiem sceny, która mię dość zainteresowała. Aktorowie znajdowali się w położeniu następującem: Xiężna matka siedziała w zakrytej galerii, cała zatopiona w rozmowie bardzo uroczystej z dandysem z Moskwy.... córka jej wychyliła właśnie, ile mi się zdawało, swoją ostatnią lampeczkę źródlowej wody i przechadzała się tam i sam pogrążona w zadumaniu. Grusznicz stał o kilka kroków od studni, więcej nikogo nie było na miejscu.

Zbliżyłem się cichaczem i ukryłem za cienisty narożnik galerii. Gruszniсowi w tej chwili wypadła z rąk szklanka i czynił on nadaremne wysilenia aby ją podnieść z ziemi, słaba noga była mu przeszkodą do schylenia się. Wielu to podstępów biedny chłopiec używać musiał, aby schwycić tę nieszczęsną szklankę swoją kulą! Wyrazista jego twarz malowała boleść. Xiężniczka Mery widziała to wszystko lepiej odemnie.

Leksza od ptaszka, zbliża się do niego, schyla, podnosi szklankę i oddaje mu ją z niewysławionym wdziękiem; rumieni się jak wisznia, rzuca okiem na galerią, lecz upewniwszy się, że matka nic nie dostrzegła, sumienie jej zostaje zaspokojone. Już była dobrze daleko, gdy Grusznicz otworzył usta, aby jej podziękować. Wyszedłszy prawie w tejże chwili z galerii wraz z matką i dandysem, przybrała, przechodząc kolo niego, minę nadzwyczaj surową, nie oglądnęła się nawet i nie zdawała uważać na wzrok ognisty, który on za nią ścigał podczas gdy zstępowała z góry, aż dopóki nie wstąpiła do

jednego z najokazalszych domków miasteczka. Wtedyto namiętny Grusznicz spostrzegł obecność moją.

— »Widziałeś ją,« zawołał »to anioł!«

— »A dla czegoż?« rzekłem z najzimniejszą obojętnością.

— »Jakto! więc nic nie widziałeś?«

— »Widziałem, widziałem; podniosła z ziemi twoją szklankę. Gdyby który z posługaczy tam się znajdował, byłby toż samo uczynił i z większą skwapliwością, spodziewając się otrzymać dobre poczestne za tę usługę. Pojmuję zresztą bardzo dobrze, że ona mogła uczuć litość dla ciebie; takeś się szkaradnie skrzywił opierając się na twej słabej nodze.«

— »I ciebież to nie wzruszyło, widzieć jak anielska jej dusza malowała się na jej cudownie pięknej twarzyczce?«

— »Na honor, nie.«

Kłamałem, ale chciało mi się rozjątrzyć go. Mam ja w naturze swojej ducha sprzeczności, pasię sprzeciwiania się wszystkiemu i wszystkim. Całe życie moje było pasmem samych sprzeczności fatalnych dla serca i umysłu mojego. Obecność entuziasty ziębi mię gdyby lodem; przydłuższe obcowanie z flegmatykiem czyniłoby ze mnie zapaleńca i marzyciela. Muszę jeszcze wyznać, że uczucie bardzo niezaszczycające, a które dobrze mi jest znane, wśliznęło się do mojego serca. Tem czuciem jest.... zawiść.... Wymawiam głośno to słowo, ponieważ nawykłem nie ukrywać nic przed sobą samym. Może to posłuży do poprawy drugiego, lub siebie samego... ha, może.... Zresztą nie ma w tem nic dziwnego, że młody człowiek, któremu wpadła w oko ładna kobieta, czuje się być dotkniętym, gdy ta kobieta odznaczy kogoś drugiego zamiast niego. Zeszliśmy z góry zachowując zupełne milczenie; a idąc przez wały, przechodziliśmy po przed dom, który zamieszkiwała piękność nasza. Stała ona w oknie, Grusznicz cisnąc moje ramię, rzucił ku oknu jedno z tych namiętnych omdlewających spojrzeń, które nie czynią żadnego wrażenia na kobiety. Skierowałem na nią szkło mojej lornetki i spostrzegłem, że uśmiechnęła się pogardliwie na moje spojrzenie, że moja zuchwała lornetka miała honor rozgniewać na serio. I w rzeczy samej, aby biedny oficer z armii kaukazkiej śmiał lornetować xiężniczkę moskiewską, rzecz niesłychana!....

13. maja.

Dziś z rana wszedł do mnie lekarz miejscowy. Nazywa się Werner, ale jest Rosianinem. Nic w tem dziwnego, znałem ja jednego Iwanof, który był Niemcem.

Werner jest z wielu względów człowiekiem niezwyczajnym. Jest on sceptykiem i materialistą, jak prawie wszyscy lekarze, a razem jest poetą, ale na serio; zawsze poetą w swych czynach a czasem i słowach, nie napisawszy w życiu swojem dwoch rymowanych wierszy. Często on śmieje się w duchu ze swoich pacjentów, a jednakże widziałem go płaczącego nad umierającym żołnierzem wygnańcem.... Ubogi, marząc o milionach, nie uczyniłby ani kroku dla pieniędzy. Słyszałem, jak nieraz mawiał, że chętniej uczyniłby przysługę nieprzyjacielowi niż przyjacielowi, ponieważ nienawiść wzmaga się w miarę schlachetności przeciwnika; ma on dość złośliwy język i nieraz uczciwego człowieka ogłosił za głupca. Zawistni lekarze, rywale jego sławy, roznieśli pogłoskę, że on ze swoich pacjentów zbiera wzorki do karykatur, a ztąd kredyt jego, mimo wszelkich usiłowań naszych, upadł na zawsze.

Powierzchowność Wernera na pierwszy rzut oka jest dosyć nieprzyjemna; lecz potem podobać ci się musi, gdy w tych nieregularnych rysach wyczytałeś piętno duszy silnej i wypróbowanej. Kobiety podobnych ludzi kochają często aż do szaleństwa, i nie zamieniłyby tych zwiędłych brzydkich rysów za twarz świeżą i rumianą najpiękniejszego Antinousa. Trzeba im oddać tę sprawiedliwość, że one instynktem odgadują pięknotę ducha; może to dla tego ludzie podobni do Wernera tak wielbią kobiety....

Werner jest wzrostu małego, chudy i sił dziecka; ma on, jak Bajron, jedną nogę krótszą od drugiej, głowę nadmiar dużą w stosunku do budowy ciała; włos czarny nosi krótko ucięty, a nierówności jego czaszki uderzyłyby Frenologa przez dziwny zbiór najsprzeczniejszych skłonności. Jego małe czarne oczki zawsze w czujnym ruchu, usiłują przeniknąć głąb twej myśli. Toaleta Wernera zawsze jest wzorowa; jego suche, mrwiste i malutkie ręce zawsze w świeżych rękawiczkach. Nosi on zwykle tużurek, kamizelkę i krawatkę w czarnym kolorze; wszystko świeże i tchnące niewymuszoną elegancią. Młodzież przezwała go Mefistofilesem; czasem gniewa go niby ten przydomek, lecz w gruncie pochlebia to jego miłości własnej.

Rychło potrafiłem zrozumieć Wernera, i wkrótce też zostaliśmy przyjaciołmi z tego właśnie powodu, że niezdolny jestem do przyjaźni. Z dwoch przyjacioł jeden pozostaje zawsze niewolnikiem drugiego; otoż ja być nim nie chcę; a co się tyczy rozkazy-

wania, to trud zanadto mozolny. A potem mam lokajów i pieniądze....

Oto z resztą, jakim sposobem zaprzyjaźniliśmy się z Wernerem. Zdybałem go raz w S.... wpośród towarzystwa bardzo hałaśliwego młodych paniczów; przy końcu tej kawalerskiej fety rozmowa wzięła obrót filozoficzny. Rozprawiano i tak i wspak o rozmaitych rodzajach i stopniach pewności, i każdy z kolei ogłaszał swoje przekonanie o przedmiotach pewności.

— »Co do mnie« ozwał się doktor »nie jestem doskonale pewnym jak tylko jednej rzeczy.«

— »A jakiejże?« zapytałem, ciekawy poznać opinią człowieka, który dotąd zachowywał milczenie.

— »*Que je mourerai tôt-ou-tard quelque beau matin.*«

— »Jam bogatszy od pana« rzekłem doń »gdyż niezachwianie przekonany jestem, że raz, w bardzo brzydki wieczór, miałem nieszczęście narodzić się.«

Całe zgromadzenie zakrzyczało, żeśmy gadali niedorzeczności, a jednakże żaden nic mądrzejszego nie powiedział. Od tego dnia spotykaliśmy się często z Wernerem, rozprawialiśmy z miną jak najuroczystszą, z największem zajęciem o najoderwańszych przedmiotach, aż do chwili, w której nagle uczyniliśmy obaj tę uwagę, że oszukujemy siebie nawzajem w dobrej wierze. Wtedy spojrzeliśmy sobie bystro w oczy, jak to czynili augury rzymskie, według świadectwa Cycerona; parsknęliśmy głośnym śmiechem, a naśmiawszy się do woli, rozstaliśmy się zadowolnieni z naszego wieczoru.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

NA CECYNIE.

I.

Jak ja tu dzisiaj, ubiegłemi laty
Wygnaniec tęsknił po Rzymie,
Tam jego bracia, domowe penaty;
I kraj ojczysty, ojczyste powietrze,
Jak miłość pierwsza, i czystsze i leksze,
Tam rzymskie życie — tu tylko — imię!!

II.

Z warownej twardej wieżycy,
Wzrok nieraz rzucił
Na bory, wzgórza, potoki, pola;
Cóż że ponętny uśmiech okolicy;
Nic go nie bawi, wnet wzrok powrócił
I tylko więcej duszę osmucił,
Bo wszędzie czytał: „Niedola!“

III.

Wtenczas oparty o ściany,
Westchnie żałośnie, głęboko myśli,
I w murze znaki zawiłe kreśli.
Czy imię swej ukochanej?....
Ach, w jednem tem słowie
Ileż skarbów ukrywa,
Ileż miłych pamiątek!
Tem jednem słowem szczęście ci opowie,
W niem jak w krainach elizejskich bywa,
Tam widzi każdy ulubiony kątek;
Kapitolu i kolumn cienie,
Za niemi Cyntii marzącej
Nocne promienie.
Tu lauru warkocze i bluszcz drzemiący,
Pod nim posągu kształt bielejący;
Obok swą drogą, jak przed kochankiem,
Z różowym na skroniu wiankiem
Płonąc, lewą przepaskę trzymała,
A prawej paluszkiem na niebieskie ciała
Wskazując, miłość wieczną przysięgała....

IV.

Minęło: jęknął więzień, a oko
Stoczył boleśnie i westchnął głęboko.
I znowu snując tkaninę myśli,
Znaki zawiłe na murze kreśli.
Pewnie to wila rodzinna będzie!
W głębi są góry, bliżej zielone
Szczepy winnicy kłonią koronę,
Z pod nich wygląda Terminus stary,
A dołem Tyber w poważnym pędzie....
Tu jezior w topole przystrojone szyby,
Łyskając złotemi ryby;
Bliżej wzniesiony dom stoi,
Wkoło otoczon korynckiemi słupy.
Ha, myśl stanęła u drogich podwoi,
Wita znajome opiekuńcze Lary,
Bogi i bohatyrów marmurowe grupy,
I w urnach pysznych pradziadów popioły.
W tem stanie, słucha, dźwięk się rozlega,
W pobocznych obszernych pokojach,
Gdzie wabią złotocytrynowe stoły
I hebanowe słoniową ubrane kością.
Rzędem z wieńcami na barwnych kobiercach
Leżą Rzymianie o pełnych sercach,
Ogniem tlącemi strzelając oczyma.
Na środku muzyk, w ręku lutnię trzyma;
Po złotych strunach z uczoną gibkością
Biegając spiewa o kartagijskich bojach,
A w oknach myrty i liczne wawrzyny
Z wonnych ogrodów,
Przyszły posłuchać piosenki u godów,
Skinieniem wielbią Scypionów czyny.
Zamierzchłe dziejów uchodzą postacie
Teraz przystąpił do Cezara zgonu,
Gdy dumą wzdęty i łakomy tronu,
Krwią przepłacając zamiary zbrodnicze,
Chrapliwie krzyknął: „I ty także, synu!“

Potem w zbrodniczej szacie
Ukrył swe wzniosłe oblicze.

Brutusie! wielki, godny Rzymianie!
Czyż mogłeś większą mieć miłość dla ojca?
Czyż mogłeś większą okazać dzielność,
Jak żeś tyrańskich zamysłów zabójca,
Ratował w krwawym i niemiłym czynie
Narodu wielkość — ojca nieśmiertelność.

V.

Nagle po wieży cień płowy przesunął!
To orzeł rozpiętem zamachnął skrzydłem,
I cały gmach runął.
Cała budowa opadła tonów,
Wszystkie widzenia znikały, znikały:
Aż patrzy: w kamieniu obrzydłem,
Jak cienką wykłuty szpilką,
Ślad krajobrazu niekształtny i tylko
Linie wpółznaczne zostały.
Spoglądnął w górę, a coraz mniejszy
Orzeł uchodzi, coraz drobniejszy —
Moze to orzeł od Legionów?.....
Wódz klasnął w dłonie, ręce załamie,
Mdlejąc opuszcza ramię
I głowę zwiesza do fałdzistej togi.

Ach to boleśnie rozstać się z najdroższą,
Boleśnie z ojcem, przyjacioły, braćmi,
Lecz najboleśniej rzucić własne Bogi
I kraj ojczysty.

1835. *J. Szymański.*

LIST Z KRAKOWA.

W samej istocie, Kraków jest obecnie bardzo pusty. Wszyscy powyjeżdzali, to do kąpiel, za granicę lub na wieś.

Nie zastałem i teatru w Krakowie. Dramat rozwiązał się już przedtem, gdyż nie był dostatecznie obsadzony; a opera właśnie upadła podczas mojego pobytu w Krakowie. Na polskich teatrach, jakby ciężyła jakaś klątwa, że zawsze w ręce nieumiejętne zarząd się dostaje. Artystów polskich mamy dobrych, a chociaż nie ma podostatkiem, jednakowoby wszędzie dosyć dobrze towarzystwa dramatyczne złożyć można. Lecz na nieszczęście zarząd jest wszędzie najgorszy, bo w ręku ludzi najmniej do tego zawodu usposobionych. Tak było i w Krakowie. Przytoczę powód rozwiązania się opery. Rzecz sama z siebie niebardzo ciekawa, lecz skutek wywarła najgorszy. Dla przykładu więc i przestrogi warto i taką rzecz z ustnej pogadanki przenieść na publiczną widownię, by nie myślano, że u nas wszystko bezkarnie ujść może. Podczas próby jeden z spiewaków spiewał cichym półgłosem, szczędząc sobie głosu na czas przedstawienia. Zastępcy zarządcy obecnemu tej próbie, nie podobało się to, więc r o z k a z a ł spiewakowi, aby natychmiast głośniej spiewał. Spiewak tłumaczył się, iż na tem nic nie zależy, gdyż i dyrektor opery nie ma nic przeciw takiemu na próbie spiewaniu. Zastępca powtórzył przecie jak najsurowiej i najniegrzeczniej rozkaz. Ztąd przyszło do kłótni, w skutek których usunięto spiewaka natychmiast, chociaż miał kontrakt na czas dłuższy. Krzywdy pana Zaręby ujęło się całe towarzystwo i zażądało satysfakcii, inaczej zupełnie się usunie. I istotnie usunąć się musiało, bo prześwietny zarząd teatru rozsądził, iż gdy pieczywo jest złe, lepiej złożyć winę na ludzi, którzy się tem zajmowali, jak uderzyć się w piersi i przyznać się, że i mąka była niesposobna do tego i brak form okrzesanych na bochenki. Wolano potępić towarzystwo i dać upaść teatrowi, jak przyznać niezręczne postępowanie ze strony zastępcy.

Przybyły tu w tych czasach dwie rzeczy godne widzenia. Pierwsza jest dworzec kolei żelaznej, jakiego w austryackich państwach dotąd nie ma. Gmach obszerny, w pięknym stylu zbudowany, wewnątrz dach szklanny. Osobliwie z żelaża wiązanie dachu sztuczne a przytem gustowne. Było na wystawie płodów przemysłowych w Berlinie, gdzie się powszechnie podobać miało. Kolej żelazna ztąd do Mysłowic jest od dawna zupełnie gotowa, tak, że mogłaby być każdej chwili otwarta. Towarzystwo akcionariuszów oczekuje jedynie zakończenia układów względem policii i komory kolejowej.

Drugą rzeczą godną widzenia są sale biblioteczne uniwersytetu w tym roku z funduszów uniwersyteckich odnowione w tym samym guście, w którym początkowie zbudowane były. Restauracią tą zajmuje się znany z dobrego smaku i wielkiej znajomości architektury dawniejszej, architekt Kremer, brat autora listów estetycznych. Okna kolorowe w guście dawnym, wszelkie najdrobniejsze przyozdobienia, szafy na xiążki, schody do wyższych pułek, galerie wokoło sufitu, noszą na sobie cechę wieków zygmuntowskich. Przytem z wielkim gustem dobierane są rysunki wszystkich tych przedmiotów, tak że całość ogromne sprawia wrażenie. Budowa ta przynosi zaszczyt z jednej strony senatowi, który dał był zlecenie tak trafnej restauracii, z drugiej strony mężowi, który się tego podjąwszy z takim talentem dokonał.

A gdy mowa o sztuce i artystach, wspomnieć muszę o nowym obrazie, nad którym Stattler obecnie pracuje: Chrzest Chrystusa w rzece Jordan. Osoby w naturalnej wielkości. Przeznaczony był ten obraz początkowie na konkurs o nagrodę, którą w Londynie za ten przedmiot ogłoszono. Lecz śród wypadków rozmaitych nie mógł być obraz na termin wyznaczony gotów. Przedstawia chwilę, w której Chrystus po skończonym chrzcie niebo ujrzał otwarte i głos: »Oto jest syn mój wybrany!« Chrystus głowę wzniósł ku niebu, a wyraz oblicza i ruch rąk wyraża jasno gotowość w Chrystusie bezwarunkowego poświęcenia. Z pokorą a razem i z ufnością przyjmuje głos boży, jakby mówił: »Chyba dla tego jestem wybrańcem bożym, iż jestem gotów dla sprawy, którą mam głosić, poświęcić się bezwarunkowo.« Święty Jan stoi obok niego na przedzie obrazu; obadwaj sam środek zajmują, a jednak główna uwaga pada na Chrystusa, widać, że to jest mistrz, któremu Jan toruje drogę. Chwalebną jest rzeczą, że św. Jana nie przedstawia jako ascetyka w skóry zwierzęce ubranego, jak go niektóre szkoły pojmowały. Szlachetna i silna dusza szlachetną postać przybrać powinna, choćby nawet tradycia była wprost przeciwna temu.

Drugi obraz Stattlera, który przed kilkunastu dniami przybył z wystawy paryskiej napowrót do Krakowa, są Machabeusze. Z litografii znane są we Lwowie. Na gruzach spalonych świątyń, śród pomordowanych kobiet i dzieci, podnieśli Grecy posąg Zeusa, i właśnie przychodzą zbrojno z rozkazem, aby wszystko co żyje ugięło się przed prawem i bogiem greckim. Naprzeciw zbrojnych Greków, na zgorzelisku świątyni, mając przed sobą pomordowanych siostr i braci, stoi rodzina Machabeuszów. Najstarszy starzec z białą głową, z wargą drgającą od bolu wewnętrznego, podniósł rękę ku niebu i na rozkaz Greka odpowiada nadludzką siłą: »Ja i synowie moi i bracia moi, posłuszni będziem zakonowi ojców naszych.

Jeden tylko Żyd przedajny przyszedł wraz z Grekami i kłania się bogom greckim. Jednakowo czyni to pełen trwogi i bojaźni, bo z przeciwnej grupy Machabeuszów gromkie słowa i spojrzenia nań padają. Jeszcze w większej trwodze jest żona jego, której się zdaje, że i spojrzenia same Machabeuszow zabić jej męża zdołają; więc stara się zasłonić męża od ich spojrzeń i groźb. Wszystkie osoby są w naturalnej wielkości. Jedność w obrazie jest jak najwydatniejsza. Osobliwie zaś podziwiać potrzeba miłą harmonię kolorytu. Sławny malarz *de la Roche* stanął zdziwiony na wystawie paryskiej przy tym obrazie, a gdy się dowiedział, iż to jest obraz malarza z Polski, jeszcze więcej zdziwiony zawołał: Nie spodziewałem się nigdy, aby w Polsce na tak wysokim stopniu malarstwo już stanęło! Malarz otrzymał za ten obraz medal złoty i list pochwalny od dyrektora akademii sztuk.

Stattler jest artystą całą duszą, a pospieszny i mylny sąd, który o nim dał w Atheneum pan Gr. (a nie pan Kr. jak przez pomyłkę w krytyce: »Milion posagu« przytoczyłem) upadł przed sławą artysty sam przez się, jak tyle sądow pana Gr. już upadło.

Jan Dobrzański.

Rozmaitość.

Dama jedna na biesiadzie przymówiła dworzaninowi, żeby się albo do muzyki przysiadł, albo tańczył, albo rozmową jaką z pannami bawił; na co on jej odpowiedział: iż to jest lekkich tylko ludzi dzieło, a nie jego ćwiczenia rzemiosło. Spytała go nakoniec pani: »A to rzemiosło wmci jakież wżdy jest?« Na co on, uczyniwszy pierwej postawę srogą, odpowiedział: »We krwi nieprzyjacielskiej prawi brodzić, a swej nie żałować.« Rzekła zatem pani: »Mnieby się zdało, ponieważ teraz wojny nie masz, abyś wmść dał się czem tłustem namazać, a razem ze zbroją i z tem wszystkiem, czego wmść przeciwko nieprzyjacielowi używasz, dał się gdzie do szafy schować, aż do tego czasu, kiedy wojna będzie, abyś wmść bardziej niż teraz nie zardzewiał.«

Xdz. Stanisław Bielecki w kazaniu na ś. Bartłomieja: »Dla czego najwięcej na wsiach Bartków? co chłop, mówimy, to Bartek.« »Oto dla tego, że jak ś. Bartłomieja, tak biednych chłopów drą wszyscy ze skóry.« Tenże: »Co to są magnates?« »Oto magnetes wszystko ciągną do siebie, z tą tylko różnicą, że nie żelazo, ale złoto.«

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.